

Mięsopust, Roch

Jadą goście, jadą...

Przegląd Pruszkowski nr 2, 46-47

2003

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jadą goście, jada...

Bardzo się zdziwiła pani Jadwiga Modrzejewska, właścicielka odziedziczonej przed pół wiekiem duchnickiej resztówki dworskiej, gdy nieznaną jej osobiście czołowa poetka nasza, pani Wisława Szymborska, zwróciła się do niej z prośbą o pozwolenie przyjazdu do siebie. To wprawdzie nie u nas lecz na Kaukazie śpiewają „*Nam każdy gost' darowan Bogom, kakoj by nie był on strany...*” ale wiadomo, że dwór polski z dawien dawna też słynął z gościnności i nie trzeba być laureatką nagrody Nobla by tej gościny doświadczyć. Okazuje się oto, że dziadek pani Wisławy spędził w Duchnicach końcówkę swego burzliwego życia jako rządca tutejszego majątku. Nie umiem powiedzieć, kto podówczas był właścicielem dworu - może młody farmaceuta Henryk Kławe, późniejszy fabrykant leków, a może dr Franciszek Kobylański, główny chirurg czy też ordynator szpitala Dzieciątka Jezus. Faktem jest, że właściciel ówczesny nie mieszkał w dworskim pałacyku, zaprojektowanym przez znakomitego inżyniera Stanisława Kierbedzia z przeznaczeniem na sanatorium. Rządca majątku pan Antoni Szymborski, w tej siedzibie, gdzie na parterze było 10 pokoi i drugie tyle na piętrze, mógł czuć się osamotniony, trochę się nudził... W sezonie prac polowych zapewne nie miał czasu zastanawiać się nad swym położeniem, bo dwór miał wtedy jeszcze kilkanaście włók ziemi ornej, ale gdy przychodziła jesień, mróz skuł ziemię grudą a listopadowy wicher huczał w konarach parkowych drzew, biedny nasz oficjalista z nudów zasiadał przy kaflowym piecu i „zapisywał papier”. Skąd ja to znam? I raz jeszcze sprawdziła się zasada, że papier stanowi najtrwalszą pamiątkę po ludziach. Liczący bez mała 300 stron pamiętnik jego życia, spisany w Duchnicach w ciągu kolejnych zim 1879-1882, został teraz wydany przez krakowski „Znak” pod tytułem „Burzliwe fortuny obroty”, z przedmową Stefana Bratkowskiego. Jest to lektura ciekawa i znakomita, żałuję tylko, że zabrakło w niej zdjęć, ilustracji i map; skorowidz mógłbym darować.

Pan Antoni był rolnikiem ale urodził się na żołnierza. Już zresztą z rodzinnego domu wyniósł żołnierskie tradycje. Ojciec jego zginął w bitwie pod Olszynką Grochowską w powstaniu listopadowym, on sam, jako 16-letni smarkacz uciekł matce do Mierosławskiego na pierwszą wieść o wybuchu powstania w Wielkopolsce (1848). Gdy Prusacy zdławili insurekcję podejmuje ryzykowną przeprawę na Węgry, gdzie o wolność tego kraju walczą i nasi pod generałem Bemem. Dalej więc w pamiętniku mamy obra-

zy jakby z opowiadania starego subiekta Rzeckiego z „Lalki” Prusa: marsze, bitwy, uniesienia, węgierskie wino i węgierskie dziewczęta. Przy zdobywaniu twierdzy Arad gdy poprzedzający Polaków pułk węgierski legł pokotem pod ogniem Austriaków wspomaganych Moskalami, nasz młodzieniaszek widzi jak chorąży ze sztandarem wali się na ziemię. „Przychodzi mi szła, biorę chorągiew i idę w to samo miejsce. Słyszę zewsząd hurra i poparcie silne, wniósłem chorągiew na mur i postawiłem, zważyło na ziemię. Przed dymem, hukiem, krzykiem nic nie widziałem i nic nie wiedziałem co się dzieje. To tylko żem był pchany i trzymany przez drugich, z krzykiem hurra i forteca była wzięta... Po trzech godzinach nadjechał cały sztab, pomiędzy którymi widziałem i Bema i Dembińskiego, kazali mi wystąpić z chorągwią, tak podartą od kul, że tylko strzępki były.” Tam na polu bitwy Bem mianował tego smarkacza na stopień oficerski. Ale to był już koniec kampanii, powstanie upadło, a Polacy chronili się do Turcji. Później błąkał się po Europie i Ameryce ale na powstanie styczniowe był w kraju i walczył na czele zorganizowanej przez siebie „partii”, na szlaku od Opoczna po Pieskową Skałę i Małogoszcz. Relacja z powstania to najciekawsze strony tej książki. Epizod powstania odpokutuje zresztą siedząc „półtrzecia roku” w X Pawilonie warszawskiej cytadeli i cudem tylko uniknął kuli na Stoku Straceń. (W swoim słowniku nie znajduję słowa „półtrzeci”, domyślałam się tylko, że to znaczy dwa i pół). Wszystkich wątków jego niezwykłego życia nie jestem w stanie tu wymienić. Ale jak nie wspomnieć, że płynął do Ameryki okrętem na żaglach i podróż trwała 33 dni. Kopał nawet złoto w Kalifornii ale szczęścia nie miał i dopiero Chińczyk który od niego działkę odkupił znalazł na niej większą bonanzę. Do Europy wracał równie goły jak przedtem, ale statek już był parowy, bocznołowiec i podróż nim trwała tylko trzy tygodnie. Co wam zresztą będę opowiadał, sami przeczytajcie. Warto.

Post scriptum.

Nasza Noblistka przyjechała do Duchnic w pogodny majowy dzień w licznym towarzystwie, w dwa samochody. Towarzyszył jej pan Stefan Bratkowski. Towarzystwo z ciekawością obejrzało zabytkowy pałacyk i jego otoczenie, obeszło pomieszczenia mieszkalne. Ona nawet plecami przyłgnęła do kafli pięknego pieca, „bo przecież na pewno dziadek ugrzewał się tutaj”. Stąd w drodze powrotnej zajechano do plebanii, by w kancelarii parafialnej odszukać akt zgonu Antoniego Szymborskiego. Niestety, księdza proboszcza nie zastano i nie udało się bodaj dotychczas ustalić czy i kiedy dziadek Noblistki został w Żbikowie pochowany.